

Różne odmiany profesorów wg postaci z „Wesela” Wyspiańskiego

Uczeni i nauczyciele

Prof. Aleksander Nalaskowski

Na samym początku lat 1970., gdy byłem nastolatkiem, mama zabrała mnie na spotkanie z Wańkowiczem. Wielki Melchior z długimi, siwymi włosami i niezdejmowalnym z głowy czarnym beretem opowiadał o swojej twórczości, której mama była wielbicielką. Dlatego zapewne metodą gróźb, szantażu, pozbawianiem podwórka, zmusiła mnie, wówczas zafascynowanego raczej Winnetou czy Małym Bizonem, abym i ja zadurzył się w Mistrzu. Dopięta swego. Niedługo potem przeczytałem, już z własnej woli, wszystko, co Wańkowicz napisał i co o nim napisano.

Na tymże spotkaniu przed laty doszło do incydentu, który stał się brzemienne w skutkach na całą resztę mego życia. Wańkowicz bowiem, mówiąc o literaturze faktu, nazwał *Wesele* Stanisława Wyspiańskiego znakomitym reportażem,

którego można mu tylko pozazdrościć. Tak właśnie zaczęła się moja, trwająca do dziś, fascynacja Młodą Polską. Niemalże każdy mój pobyt w Krakowie zaczynał od odwiedzenia Krypty Zasłużonych na Skałce, gdzie spoczywa Wyspiański. Tak było i dzisiaj.

Teraz stoję na deskach Teatru im. Juliusza Słowackiego, w miejscu, gdzie 16 marca 1901 r. o godzinie 18 odbyła się prapremiera *Wesela*. Jak napisał Rudolf Starzewski, nie obyło się bez perturbacji. Niektórzy aktorzy, ale i sam Starzewski, uznali, że ten dramat to jakaś bzdura i bełkot, i przewidywali, że przedstawienie zakończy się na pewno ogromną kłapą i rzucaniem w aktorów czym się da. Dziwiono się dyrektorowi Kotarbińskiemu, że na „taką kłapę się ugodził”. Jak zatem poucza ta historia, już wówczas mieliśmy do czynienia z artystami, dla których rozumienie pew-

nych znaczeń i kontekstów jest niedostępne. Wszakże w tym, podobnie jak w innych zawodach, jest i elita, i ogon. Byleby ten ogon nie był aż tak długi.

Stoję więc w miejscu historycznym, o którym mogłem zaledwie pomarzyć. I nic nie jest w stanie unicestwić we mnie tej świadomości i jej ciężaru. Stąd też włamuje się we mnie natarczywe pytanie – jakie *Wesele* dzisiaj napisałby Wyspiański? Prof. Janusz Skuczyński nazwał kiedyś *Wesele* „Dziadami poetów”, a wspominany już Rudolf Starzewski mówił o całym bronowickim fenomenie jak o jemu współczesnym Soplicowicie.

W konwencji metodologii nauk społecznych można spojrzeć na *Wesele* jako na typologię postaw wobec szeroko pojętej sytuacji społecznej. I wydaje się, że przerysowany, niekiedy złośliwy, a często wręcz opatrzoną żądlem, wizerunek uczestni-



Stanisław Wyspiański „Scena z życia uniwersyteckiego. Czytający mężczyźni podczas wieczorku towarzyskiego”. Karta ze szkicownika. Fot. Muzeum Narodowe w Krakowie



Kazimierz Kamiński jako Stańczyk w inscenizacji „Wesela” z 1901 r.

ków bronowickich godów jest bardziej uniwersalny niż mogłoby się wydawać.

Uczyńmy zatem myślowy eksperyment, taką umyślową grę, i wyobraźmy sobie, że Wyspiański żyje dzisiaj. Spróbujmy też sobie wyobrazić jakąś luźną imprezkę profesorską (na przykład fetowanie profesury kolegi), którą Wyspiański opisuje potem w swoim dramacie, tworząc współczesne nam „Dziady Akademii” (posługując się sformułowaniem prof. Skuczyńskiego w odniesieniu do *Wesela*). Kim byłyby postaci z owego dramatu i jak przedstawiłby je krakowski Wieszczyk? Jak wyglądałaby skonstruowana przez niego typologia postaw? Spróbujmy zrobić to za Wyspiańskiego, od razu tłumacząc, że będzie to *remake* niezwykle

subiektywny, obiektywnie ironiczny i zapewne mało adekwatny do odczuć Państwa. Stasia już dzisiaj na Skałce za tę zachwalność przeprosiłem.

Sceneria

W mieszkaniu nominata mieszczącym się w przyzwoitym apartamentowcu spotykają się historycy, politolodzy, pedagodzy, socjologowie, filozofowie. Korzystając z drinków, które z wdziękiem serwuje pani domu, toczą dyskusje, kłócą się, prawią sobie mniej lub bardziej fałszywe komplementy. Czasami padnie jakieś niecenzuralne słowo, a towarzyszy im przy tym muzyka Beatlesów, Perfektu, Kombi, Czerwonych Gitar, Grechuty czy

Demarczyk. Co raz któryś wyjdzie na taras zaczerpnąć świeżego powietrza, ktoś z błyskiem w oku przytuli koleżankę, ktoś inny rozplacze się w czyjś rękaw, że jest gejem. Z niektórych szybko spływa kindersztuba i opowiadają sprośne dowcipy. Inni się z nich śmieją, jeszcze inni udają, że ich nie słyszeli. Całość staje się w końcu karykaturą samej siebie i ulega odrealnieniu. Muzyka się rozplywa, światło stopniowo ciemnieje. Ktoś proponuje zabawę w ciuciubabkę, ktoś inny w salonorowca. W końcu wszyscy grają w butelkę. Spójrzmy im w oczy. Kurtyna w górę.

Osoby

Profesor Pan Młody. Żyje w świecie, którego do końca nie rozumie, ale uwielbia robić wrażenie erudyty wypowiadającego się na każdy temat. Egzaltuje się modnymi „osiągnięciami” nauki, takimi jak *gender* czy sztuczna inteligencja. Jego jedyny kontakt z „ludem”, skądinąd przedmiotem jego badań, stanowi paraludowa partia, którą otwarcie popiera. Na podstawie tak pojmowanego rozpoznania terenu badań mówi i pisze to, co mniema. Uwielbia być tytułowany. Chętnie zabiera głos we wszystkich dyskusjach, panelach, a zwłaszcza tych telewizyjnych. Nie odmawia żadnego wywiadu, nawet jeśli nie ma nic do powiedzenia. W zasadzie ciągle by gadał, gadał i gadał. Pod każdą jego książką można napisać pytanie „No i co z tego?”. Zbiór takich profesorów jest wieloelementowy. Jest ich całe mnóstwo i podejrzenie szybko się mnoży.

Profesor Poeta. Najlepsze lata ma już za sobą. Kiedyś był ostrożnym opozycjonistą, ale dzisiaj już sam nie wie, kim jest. Jest przy tym sztuczny i kompletnie bierny. Zdaje się na łaskę losu, a brak rozwoju maskuje ironią, często milczeniem, za którym zupełnie nic się nie kryje. Rzekłbym – milczeniem jałowym, jakkolwiek bywa ono czasem traktowane jako wyraz głębi przemyśleń, dla których jeszcze nie znalazł odpowiednich słów. Nic go już nie fascynuje. Nauka go nudzi. Od dawnych osiągnięć odcina resztki kuponów. Coraz rzadziej bywa zapraszany na spotkania towarzyskie, bo wnosi w nie niepotrzebny nikomu pesymizm. W samotności coraz głębiej zagląda do kielicha. Świadom swoich niegdyśszych możliwości intelektualnych, wylewa dziś z siebie pod każdym pretekstem gorzyc z powodu ich niewykorzystania. Jego ulubionym, powracającym jak eholalia powiedzeniem jest „bez sensu”. Dzisiaj mówimy – „wypalony”.

Profesor Dziennikarz. Ma bez wątpienia pewien dorobek i jest postacią znaczącą. Najczęściej obdarzony jest naukowym talentem, ale zdystansowany do rzeczywistości. Na zewnątrz jest poprawny politycznie, ale w relacjach

prywatnych do bólu krytyczny. Jako badacz nie naraża się władzy, bo też unika tematów bardzo ryzykownych. Jest autorem paru ważnych, a nawet odkrywczych tekstów. Nie odkrył niestety sposobu na histerię i głupotę, dlatego też unika publicznych debat i bywania w telewizji. Dobrze dba o swój interes – zagraniczne stypendia, wysokie, jakkolwiek dobrze wykorzystywane, granty i pozorną tolerancję. Ma nienaganne maniery, dobrze skrojony garnitur i przyzwoite auto. Ale wobec rzeczywistych problemów zachowuje się biernie. Zasłania się przy tym faktem, że robi wysoką naukę i nie ma czasu na publicystykę czy naprawianie świata. W rzeczywistości nie jest wcale obiektywnym świadkiem wydarzeń. Nie jest też zbyt sumienny, w każdym systemie uważa się za obserwatora tego czy innego reżimu. Wszelką krytykę kwituje powiedzeniem „robię co mogę”. Jego książki pożyją jeszcze kilka lat, a potem nikt już o nich nie będzie pamiętał.

Profesor Panna Młoda. To typ młodego, nadzwyczaj ambitnego, a nierzadko uzdolnionego habilitowanego, któremu poczucie wdzięczności wobec starszych kolegów i niedawnego jeszcze promotora jest w zasadzie obce. To niekiedy bywa jednak uzasadnione. Po uzyskaniu habilitacji zostaje najpierw wicedyrektorem instytutu, niekiedy prodziekanem do spraw studenckich i bez skrupułów potrafi pokazać swoją formalną przewagę nad każdym starszym i najczęściej bardziej zasłużonym kolegą. Jest nadambitny. Każde stanowisko i funkcję jest w stanie wykorzystywać dla własnego dobra. Przy każdej okazji podkreśla swój zdrowy rozsądek, pragmatyzm w działaniu i wartość łokci, którymi można się przepychać. Dąży do tego, aby z każdym być po imieniu i zupełnie nie bierze do głowy, że to czasami po prostu nie wypada. Jest fanem punktów, parametryzacji, publikowania krągłych wypracowań w zagranicznych czasopiśmie. Wartość dorobku naukowego oceniałby najchętniej na podstawie kilobajtów, które on zajmuje. Postawił sobie za cel bycie młodym profesorem, by móc jak najszybciej robić dalszą karierę. Rektor? Proszę bardzo. Polityka? Jeszcze chętniej. Może to prowadzić do dwóch rezultatów – ścieżki szybkiego, opartego na plastikowej twórczości naukowej awansu akademickiego albo frustracji. Jest jeszcze trzecia możliwość – może zmądrzeć i rzeczywiście poszukiwać prawdy. Czasami się to zdarza.

Profesor Rachel. To naukowy wrażliwiec i *outsider*, przyczynkarz tworzący niekiedy naukowe perełki. Ustawicznie spotyka się z zarzutami, że jego język jest mało naukowy i za mało hermetyczny, że za mało u niego przypisów, że czegoś nie przeczytał i zbyt rzadko korzysta



Bolesław Zawierski jako Pan Młody i Wanda Siemaszkowa jako Panna Młoda w krakowskiej inscenizacji „Wesela” z 1901 r.

ze słownika wyrazów obcych jako źródła czerpania pojęć czyniących pracę prawdziwie naukową. Żyje w trochę innym świecie. Pogodził się z faktem, że nie dla niego wyścigi o granty, ordery, zaszczyty. Przy doktoratach i habilitacjach jest typem recenzenta spolegliwego, trawstując tu termin Tadeusza Kotarbińskiego. To prowadzi go do łagodności recenzji i wyłącznie pozytywnych konkluzji. Obdarzony wyjątkową spostrzegawczością, wszystko traktuje jak obiekt badawczy: rozmowy w kawiarni, lekturę prasy, wydarzenia artystyczne, życie rodzinne, przestępstwa kryminalne, audycje telewizyjne. Uwielbia pogłębiać swoją wiedzę, ale wyłącznie w zakresie dłań fascynującym. Nauka to dla niego nade wszystko hob-

by, a dopiero potem zawód. To typ *geeka* [pogłębia swoją wiedzę w stopniu daleko wykraczającym poza zwyczajne hobby – przyp. red.]. W pisaniu jest uosobieniem wdzięku i lekkości pióra, czego nie mogą znieść jego koledzy i krytycy. Nigdy nie zrobi „wielkiej nauki”, ale zanim jego cicha nauka zostanie doceniona, miną lata.

Profesor Nos. Jeśli wierzyć Boyowi, Nos z *Wesela* to symbol przybyszewszczyzny, cyganerii i nieokiełznanej potrzeby pisania. Taki był i sam Przybyszewski. Przez współczesnych uznawany był nierzadko za geniusza, obecnie zdegradowany do rangi grafomana. W typie Nosa mieszczą się profesorowie, którzy w ciągu zaledwie kilku dekad zdołali wydać czterdzieści i więcej książek, opublikować

kilkaset artykułów autorskich i współautorskich. To o nich pisał fizyk prof. Marian Grabowski w pracy *Istotne i nieistotne w nauce*: „Sterty naukowego śmiecia mają swoich wytwórców. Są to rzesze ludzi znakomicie prosperujących w realiach współczesnej nauki, którzy dzięki banalnym wynikom uzyskują naukowe tytuły, pieniądze na badania, publikują stopy artykułów i książek. Miernota tłumnie wypełnia badawcze instytucje, uniwersytety. Rzesza producentów naukowej tandety i makulatury kształtuje w znaczący sposób dzisiejsze oblicze nauki”.

Osoby dramatu

Profesor Hetman – gatunek wciąż istniejący. W dalekiej przeszłości działacz partyjny, tajny współpracownik, a być może nawet funkcjonariusz urzędu bezpieczeństwa czy korpusu bezpieczeństwa wewnętrznego. Dzisiaj nobliwy, zasłużony, wielokrotnie odznaczany profesor socjologii, filozofii, historii czy pedagogiki. Mentor młodej lewicy oraz postmodernizmu, który spadł mu jak z nieba. Tam nie ma sumienia. Mógłby mieć istotny wkład w naukę, gdyby chciał napisać to, co naprawdę wie, ale na to zupełnie go nie stać. Chętnie uczestniczy w konferencjach. Delikatnymi aluzjami potępia poprzedni ustrój, podkreśla swoją niegdyśszą uczciwość wobec nieaktualnych już ideałów. Niewygodne pytania opatruje komentarzem „tylko krowa nie zmienia poglądów”. W zasadzie nie wiadomo, czy kiedykolwiek był uczciwy i szczerzy, zawsze był bowiem tylko służącym. Po cichu i wtedy, gdy nikt nie słyszy, nazywa członków dawnej opozycji oraz dzisiejszych konserwatystów czy prawicowców hołotą. Wierzy, że stan wojenny był dobrodziejstwem, a jego ofiary nieuniknione. Dzisiaj ma na celowniku Kościół i duchownych.

Profesor Dziad – w dużej mierze gatunek wymierający. Wystraszony w okresie stalinizmu, a później, pod koniec lat 1960., już nigdy nie przestał się bać. Nie zabiera głosu w publicznej dyskusji. Z trudem przechodzi mu przez gardło stwierdzenie, że w Polsce jednak są jakieś problemy. Takich deklaracji się boi. Piętno przeszłości uregulowało mu życie i wyznaczyło ostateczną strategię działania, która polega na tym, aby za dużo nie wiedzieć, za dużo nie słyszeć, za dużo nie wi-

dzieć, za dużo nie mówić. Święcie wierzy, że wszyscy są podsłuchiwani, że jest śledzony i obserwowany. Do nikogo nie ma zaufania. Jego badania i wyniki są często wtórne, a poruszane problemy pozorne. Brakuje mu bowiem odwagi na bardziej ryzykowne tezy i konkluzje. Kraży po Polsce z tym samym niekontrowersyjnym referatem, uczestnicząc w mało znaczących konferencjach. Skrupulatnie rozlicza delegacje, a na Dzień Kobiet częstuje cukierkami panie z dziekanatu. Można powiedzieć, że nie tyle jest profesorem, co piastuje takie stanowisko.

Profesor Widmo – jest, funkcjonuje, wyklada, ale nikt nie ma pojęcia, z jakiego powodu został profesorem. Niby jest profesor, a jakoby go zupełnie nie było. Naukowo zanim jeszcze się rozwinął, już był martwy. Jego dorobek jest błąd jak ściana, bezbarwny i nijaki. Życie poskąpiło mu talentów naukowych, toteż przestał już nawet tęsknić do sukcesów jak do osamotnionej przezeń kochanki. Jest rad, że jakoś jednak istnieje, choćby jako przezroczystość. W farmacji byłby *massa tabulettae*, jest bowiem wypełniaczem kadrowych minimów, rad wydziałów i wykazów osobowych uczelni. Uzdolnionym studentom nie zaszkodzi, mniej zdolnych nie oczaruje. Widmo.

Profesor Stańczyk. Królewski błazen to chyba jedyna bez złośliwości i z sza-

cunkiem przedstawiona przez Wyspiańskiego postać. To profesor odważnie mówiący prawdę, pozbawiony konformizmu, a gdy trzeba zbuntowany. Niekiedy nazbyt krytyczny, a nawet nietolerancyjny. W głoszeniu poglądów, nawet jeśli grożą mu za to jakieś sankcje, konsekwentny. Jako busołą wybrał sumienie. Swoją postawę często uzasadnia powiedzonkiem „mówię to, co myślę, co mi się podoba”. W głoszeniu prawdy nie boi się użyć nawet najbardziej niepopularnych środków. Potrafi niekiedy przeszarżować. Chociażby czasami zląkł się tego, co powiedział, przynigdy po sobie nie pokaże, że się boi. To profesorski gatunek niszowy, z którym walczy się niezwykle trudno, gdyż stoją za nim zarówno niewątpliwe kompetencje naukowe, jak i znaczący dorobek. Często można o nim usłyszeć: „to wybitny uczony, ale te jego poglądy...”. Nie godzi się na państwo teoretyczne ani na opisane przez Alfreda Jarry'ego w *Królu Ubu czyli Polakach*: „rzecz dzieje się w Polsce, czyli nigdzie”. Wierzy w Polskę i dlatego go ona niepokoi. W tej postaci ujawnia się pewna reguła – aby móc mówić dzisiaj prawdę, trzeba być po trosze błaznem.

Profesor Rycerz Wernyhora Stańczyk. Nie ma takiej postaci u Wyspiańskiego, ale w naszym weselnym *panopticum* musi się ona pojawić. Ma wszystkie najlepsze cechy swoich pierwowzorów. Postać zagregowana. Jest jak wyrzut sumienia dla akademickich miernot i głupców. Samym wzrokiem powala naukowe półprawdy i publicystyczne postprawdy. Jego prace są gęste od znaczeń, bo jeśli wymawia jakieś słowo, to oznacza ono dokładnie tyle, ile chciał, aby znaczyło – ani więcej, ani mniej. Nigdy inaczej. Młody, a już klasyk.

Jednakże ten zbiór – mocno się obawiam – jest nieliczny. Ale, Bogu dzięki, w ogóle istnieje. Jako uczestnik *Wesela* profesor taki stałby się zbyt banalny. Poza tym w takich imprezach nie uczestniczy. Zostaje zatem osoba fantastyczna. Na afiszach teatralnych byłby więc zapewne wymieniony wśród osób dramatu – pokazałby się wszystkim na raz uczestnikiem profesorskiej imprezy. Znając Wyspiańskiego, nazwałby tę postać po prostu Nowak. Andrzej Nowak.

A Chochoł? Cóż, na Chochoła wciąż trwa casting.

Premierowa inscenizacja „Wesela” w 1901 r. Bolesław Puchalski jako Upiór i Leon Stępowski jako Dziad.

